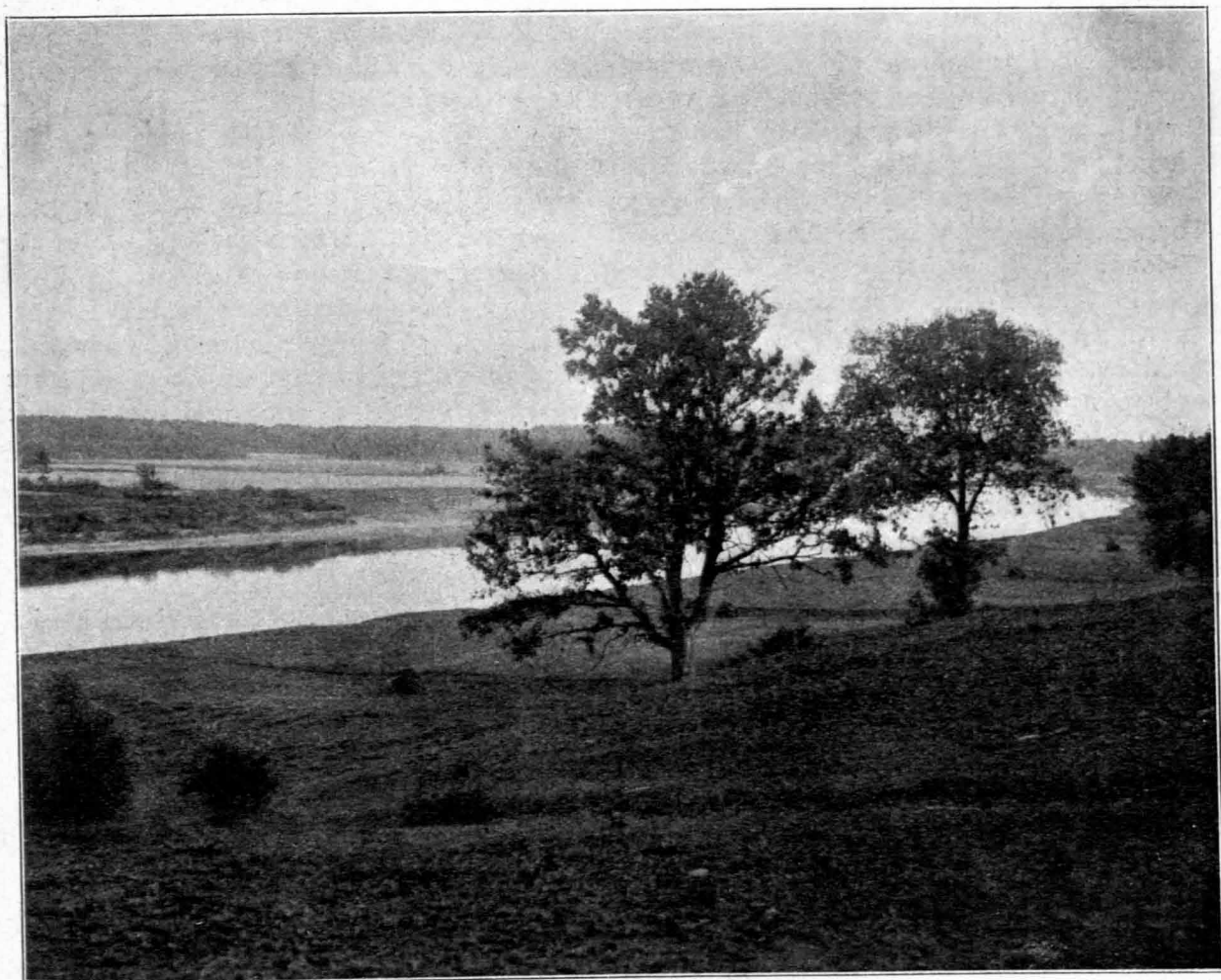




Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



8. DŻWINA POD UŻMIANAMI.

Fot. L. Ostaszewski.

Polska, jako kraina przejściowa.

4)

Podczas gdy na dalekiej „wysokoskalnej“ północy skandynawskiej odwieczna grobla granitowa, niby kadłub wywróconego okrętu-olbrzyma na grobie wikinga-olbrzyma, dzieli wązki i długi półwysep na dwa zupełnie różne światy klimatyczne:—oceaniczną, mglistą, chmurną, zachodnio-europejską Norwegię i kontynentalną, pogodną, wsch.-europejską Szwecję; podczas gdy na dalekiem bałkańskim południu nadbrzeżny łańcuch Alp Dynarskich oddziela wyraźnie śródziemnomorską klimatycznie Dalmację od wschodnio-europejskiej wschodniej części półwyspu; podczas gdy zaraz na południe Polski kontynentalny stepowy wschód Europy pod osłoną Alp i Karpat sięga zatokowato do niziny Węgierskiej prawie aż pod mury Wiednia i tam urywa się nagle u stóp alpejskiego świata Europy zachodniej, to na naszym obszarze wszelki dział znika, nie widać żadnego przełomu, żadnej dzielącej ściany. Przez lukę między wyżyną Skandynawską i Karpatami, której południową część zajmuje Brama Nadwiślańska, przedziera się ku wschodowi wpływ oceaniczny i tworzy krainę klimatycznie przejściową.

Przypatrzmy się teraz bliżej niektórym elementom klimatycznym z punktu widzenia przejściowości. Temperatura w zimie ubywa u nas ku wschodowi, jak w całej prawie Europie, ale na naszym obszarze bardzo powoli, co widać z rozsunięcia się tutaj izoterm styczniowych, zbiegających się na północy i południu. Przez zachodnią część naszego obszaru przechodzi izoterma—3°; przez wschodnią, około Dniepru—Dźwiny, izoterma—5°; że zaś w lecie temperatura ku wschodowi wzrasta, stąd wzrasta też w tym kierunku i amplituda roczna. Izoamplituda 23°, przechodząca z północy na południe przez okolicę Warszawy, stanowi, według Wojejkowa, granicę klimatu morskiego i kontynentalnego.

Spodziewane zmniejszanie się opadów ku kontynentalnemu wschodowi, nie jest widoczne wprost; zwłaszcza rozległe bagna i lasy Polesia wpływają tu zaburzająco: wywołują nawet wzrost opadów. Dopiero w kierunku

południowo-wschodnim, w stronę stepów, następuje ubytek opadów; jak na północy nad Bałtykiem klimat morski sięga najbardziej na wschód, tak tutaj, na południu, klimat kontynentalny wraz ze stepami sięga najdalej na zachód, urywając się stosunkowo dość ostro na linii Sanu. To wkroczenie stepów od wschodu w nasz obszar, przejściowość krajo-brazowa, sprowadziły za sobą przejściowość kulturalno-dziejową: w dziejach Polski zaczyna już odgrywać rolę ten kontrast między nomadycznymi, pasterskimi mieszkańcami stepowego południa a rolnikami błotnistoleśnej północy, i kontrast ten był głównym motywem dziejów Europy wschodniej—dziejów Rosyi.

Przejściowość klimatyczna wyraża się nie tylko przestrzennie, ale i chronologicznie—mianowicie w zmienności klimatycznej. Wynika to ze ścierania się ze sobą tutaj wpływów klimatu zachodnio i wschodnio-europejskiego: wskutek tego ścierania się wpływy te przesuwają często swe granice. To też bywa u nas niekiedy zima łagodna, oceaniczna, „angielska“, to znów—surowa, kontynentalna „ruska“; bywają w lecie długotrwałe deszcze, przeszkadzające sianokosom i żniwom, to znów—długotrwałe posuchy, wypalające zboża i trawy. Zmienność taka jest zgubna dla rolnika, obraca nieraz wniwecz jego pracę i stąd czyni go zabobonnym: wszystko tu będzie tak, „jak Bóg da“.

Że pod względem *o r g a n i z m ó w*—flory i fauny—Polska, zarówno na nizinie, jak i w południowych górach granicznych, przedstawia przejściowość; że musi mieć organizmy mieszane, po części zachodnio,—po części wschodnio-europejskie; że jedne z nich znajdują tu często swą granicę wschodnią, drugie—zachodnią, to można wnosić *a priori* z dwóch powodów: naprzód z przejściowości klimatycznej, która odpowiednio warunkuje życie organizmów; powtórze ze względów historycznych, względów za-wędrowania. Gdy mianowicie skorupa lodowa skandynawska, która w czasie maksymalnego rozprzestrzenienia sięgała na południe do stóp Sudetów i Karpat zachodnich, zaczęła ustępować ku północy, wtedy na obszar uwolniony

od lodów zaczęły przywędrowywać organizmy, jedno z południo-zachodu, a potem i zachodu; drugie z południo-wschodu, a potem i ze wschodu, wytwarzając florę i faunę mieszaną.

Ze względów klimatycznych przechodzi tu np. w pobliżu prawego brzegu Wisły i dalej wzdłuż wschodniego podnóża Karpat granica wschodnia buku, najważniejsza granica florystyczna między zachodem i wschodem Europy; granica ta biegnie dość zgodnie z izotermą styczniową—4°. Toż samo można napotkać i wśród fauny: np. niektóre ślimaki, nie znoszące klimatu suchego, znajdują tu swą granicę wschodnią; odwrotnie, niektóre zwierzęta, lubiące klimat stepowy, tu znajdują granicę zachodnią; np. szarańcza, dropie, susły; chomik zawędrował już dalej na zachód, znalazłszy dogodnie zastępstwo stepów w niwach zbożowych. Dla przejściowości fauny istnieją jeszcze inne warunki; naprzód przejściowość kulturalna: mianowicie tętno kultury wzmaga się ku zachodowi; ale kultura prowadzi za sobą wyniszczenie lasów, a stąd i zwierząt leśnych; dlatego we wschodniej części naszego obszaru dochowały się jeszcze niektóre takie zwierzęta, które w zachodniej części zostały już wytępione, np. wilki. Powtórnie dla ryb przejściowość faunistyczna znajduje podstawę w przejściowości hydrograficznej, mianowicie we wkroczeniu do wnętrza wschodniej części Polski głównego działu wodnego, który się tu ciągnie na północo-wschód: oddziela on bowiem faunę rybią zlewiska bałtyckiego od fauny zlewiska czarnomorskiego, wskutek tego idąc z zachodu na wschód, spotykamy granicę fauny rybiej, np. granicę łosiosia, za którą rozpoczyna się kraina jesiotrów. Zresztą z powodu nizkości działu wodnego i peryodycznych bifurkacji granica ta nie jest zbyt ostra i wiele ryb jest wspólnych dla obu zlewisk (np. sandacz).

Przejściowość Polski odbija się dalej i w stosunkach etnograficznych. W ognisku tego obszaru osiadł naród Pol-

ski, ale na skrajach spotykamy wielką pstrociną etnograficzną, wskazującą na przejściowy charakter kraju.

Na zachodzie fale etniczne niemieckie wdzierają się w ten obszar wzdłuż doliny górnej Odry i Noteci, a zwłaszcza wzdłuż wybrzeża Bałtyku, rozszarpując obszar etniczny polski, i odrywają odcinki wyspy (np. kaszubska); prócz tego bryzgi tych fal, kolonie niemieckie, upstrzyły nawet wewnątrz obszaru polskiego. Na wschodzie znów obszar polski rozpyła się na wyspy rozrzucone wśród obszaru ruskiego i litewskiego. A jak na północy narodowość niemiecka wzdłuż Bałtyku wdziera się daleko na wschód, tak na południu narodowość ruska wzdłuż doliny Dniestru wkracza daleko na zachód, zbliżając się do zatoki etnicznej niemieckiej, wdzierającej się doliną górnej Odry.

Liczne rozsianie się Żydów na tym obszarze jest również skutkiem jego stanowiska przejściowego (komunikacyjnie), mianowicie—skutkiem ciągłych niepokoїв wojennych, grożących Polsce, przy których nie mogła się w narodzie polskim wytworzyć klasa przemysłowo-handlowa, lukę tę wypełnił napływ żydowski. Nawet w obrębie samej narodowości żydowskiej zaznacza się przejściowość: na zachodzie spotykamy żydów niemieckich, na wschodzie—rosyjskich (t. zw. Litwaków).

Pstrociną etnograficzną odbija się w religijnej: na wschodzie występuje religia grecko-wschodnia, na zachodzie rzymsko-katolicka i protestancka, która wzdłuż Bałtyku podaje rękę grecko-wschodniej. Przejściowość religijna wyraża się nawet krajobrazowo—w przejściowości stylów budownictwa kościelnego: na zachodzie styl romański, gotycki, renesans, na wschodzie styl bizantyjski; a baniastość wież cerkiewnych wzrasta ku wschodowi i południo-wschodowi (Mokłowski).

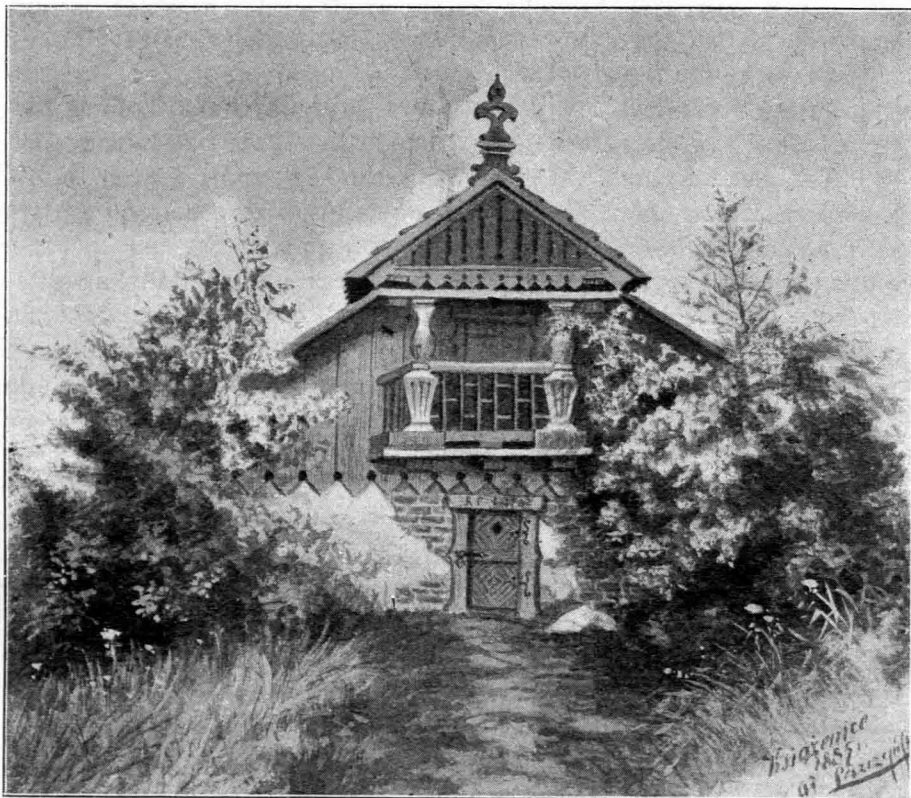
(d. c. n.).

Wacław Nałkowski.



Lamus w Książenicach.

(URYWEK ZE WSPOMNIENI).



Rys. Wł. Leszczyński.

... P. Mikołaj Soltan, wyzbywszy się po roku 1864 z przyczyn od siebie niezależnych dóbr dziedzicznych na Białej Rusi, przeniósł się do Królestwa i nabył Książenice w pow. błońskim, za cenę dwukroć sto tysięcy rubli. Po kilku latach starannej gospodarki podniósł wartość majątku w dwójnasób, urządził wzorowo, upiększył, zaprowadził sady, podniósł wydajność ziemi, a przytem, mówiąc nawiasowo, nietylko gościł w nich nierzadko liczne grono osób wybitnych i głośnych zasługą czy talentem, ale z prawdziwym pietyzmem otaczał te kilka nielicznych pamiątek, jakie Książenice posiadały z czasów pobytu w nich Kazimierza Brodzińskiego. Powziął był nawet zamiar p. Mikołaj wzniesienia w tem miejscu, gdzie pod starą spróchniałą wierzbą stała jeszcze śród zieliska nad stawem pogruchotana, mchem porośnięta ława kamienna, na której poeta (podług ustnej

tradycji) lubił siedzieć, tworząc sielanki — pamiątkowego kamienia z odpowiednim napisem, ale... znowu z przyczyn nie od siebie zależnych, musiał tej myśli zaniechać.

Dwór stary, mdrzewiowy, obszerny, wrosły w ziemię, pozostał widocznie z niejaką zmianą ten sam, który K. Brodziński zamieszkiwał. Obok dworu na prawo, smutnie sterczała porośnięta zielskiem jedna zaledwie ściana domowej kaplicy, wająca się w gruzy, sam tylko lamus, stojący na uboczu poza kaplicą, zachował się z czasów dawniejszych w takim stanie, w jakim go tu podajemy na rysunku. Staruszek

to był, ale krzepki jeszcze, miał na froncie nade drzwiami głęboko wryty napis: „R. P. † 1782“. Miły to zabytek naszej sielskiej architektury, których tak mało już pozostało.

W jakim czasie K. Brodziński zamieszkiwał Książenice — dokładnie niewiadomo. Możemy przypuszczać, że po odbytej szczęśliwie kampanii 1812 r., w której brał udział jako oficer artylerii i po pruskiej niewoli, w którą wpadł w bitwie pod Lipskiem, zatem po powrocie do kraju, a przed osiedleniem się na stałe w Warszawie, co nastąpiło w r. 1814¹⁾.

Wł. Leszczyński.

¹⁾ Powróciwszy z niewoli (w końcu r. 1813) bawił poeta w Swodzinie, Krakowie i Sulikowie. W drugiej połowie r. 1814, osiadł już na stałe w Warszawie, pobyt zatem w Książenicach mógł być b. krótkotrwały.

(Przyp. Red.).





Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia. ⁴⁾

I bez względu na to, cobyśmy o istotnem znaczeniu i wartości tych chwil trzymali, trzeba przyznać, że w życiu ubogiego tłumu miejskiego były to nieliczne momenty wytchnienia, momenty, w których żarliwość ekstazy religijnej i blask choćby cudzej świetności pozwalały zapomnieć o straszliwych klęskach, które mu aż nadto często jak zmora siadały na piersiach. To pewna, że my dzisiaj, my ludzie uporządkowanego, w ścisłe karby wziętego życia, nie możemy sobie nawet wyobrazić, jakiej nadludzkiej niekiedy, jakiej kamiennej odporności potrzebował mieszkaniiec dawnej Warszawy, żeby dotrzymać czoła przeciwnościom, żeby dotrwać na miejscu pod straszliwą chłostą żelaznych różeg losu, które mu w strzępy rwały duszę i ciało. Dość wspomnieć z nich dwie tylko: ogień i mór. W ciągu jednego tylko XVII st. srożyła się w Warszawie zaraza 22 razy, a srożyła się niekiedy tak strasznie, z taką zacieklnością i okrucieństwem, że nie było domu, nie było rodziny, gdzieby straszliwego znaku swej trupiej ręki nie zostawiła. Od najwyższych do najniższych szczebli drabiny społecznej ginęli wszyscy, magnaci, żebracy, dworzanie królewscy i pospólstwo. Kto mógł ratować się ucieczką, reszta chodziła jak błędna po zatarasowanych częstokołami ulicach, unikając domów o drzwiach i oknach zabitych naглуcho ze strasznym znakiem krzyża, zwiastującym świeżą ofiarę. Przerywały się wszelkie sprawy, ustawał handel, do moru łączył się głód, podsycając go jak ogień oliwa. W opustoszałem, zamarłem z przerażenia mieście, nie słychać było jeno posępny dźwięk trąb, oznamiających rozporządzenia „burmistrza powietrznego“, tylko ciężkie kroki grabarzy, przybranych w modre i czerwone płaszcze z czarnymi krzyżami na piersiach, tylko brzęk kajdan więźniów, uprzątających ulice. Nocami glucho rozlegały się nawoływania straży „wy, którzy nie śpicie, módlcie się za umarłych“, na opornych rozkazom władzy czekał „mistrz“, któremu na te czasy dodawano pacholków. I jeśli co dziwić może w tym przeraźliwym obrazie, to jakaś nieprzełamana moc tych, którzy mimo wszystko przetrwali, którzy z tego piekła nie wyszli z obłąkanym umysłem, którzy mieli siłę później żyć i oddawać się radości.

Jedyną pamiątką tych strasznych chwil, jaką po dziś dzień oglądać możemy, jest pomniczek Panny Maryi Passawskiej, wzniesiony w roku 1683 przez budowniczego królewskiego Belottiego na

Krakowskiem Przedmieściu. Jakkolwiek bowiem pomieszczone na nim napisy wiążą go z chwałą zwycięstwa pod Wiedniem, wiadomo jest skądinąd, że pierwotną myślą fundatora była właśnie chęć wyrażenia wdzięczności za ocalenie siebie i swojej rodziny od straszego moru, jaki w Warszawie kilka lat przedtem panował.

A jakby niedość było tej klęski, zapalała się co kilka, kilnanaście najwyżej lat nad miastem łuna pożogi, w której ginęły setki domów, ginęły całe ulice, całe dzielnice, czasem wprost z nieostrożności i ciasnoty, czasem jak przed elekcyą Wiśniowieckiego ze zbrodniczego rozpasania się, połączona z rabunkiem, morderstwami i gwałtem.

A cóż dopiero, gdy skończyły się czasy złotego pokoju, czasy dostatków i używania, w jakie przez długie, szczęśliwe lata stolica Polski i z nią cała Rzeczpospolita opływały, gdy rozpoczęły się hiobowe dnie klęsk i próby, upokorzeń i najazdów, łupiestwa i zniszczenia, o jakich znowu my, co dziś na ciężary i klęski wojen sarkamy, najlżejszego nawet nie możemy mieć pojęcia. Kiedy się czyta o tem, co przeszła Warszawa, a razem z nią kraj cały w czasie pierwszego najazdu Szwedów, trudno poprostu zrozumieć, jak mogła ta szczupła bądź co bądź garść najeźdźców dokonać tyle zniszczenia, tak doszczętnie wszystko obalić i stratać nogami. A właśnie jednym z klasycznych przykładów tego już nie zniszczenia, ale zrównania z ziemią bezmała było nasze Krakowskie Przedmieście. Dość powiedzieć, że z kwitnącej osady, pełnej wspaniałych pałaców i wygodnych dworów, zostały jeno zgłiszczta i gruz, że na prawej stronie Krakowskiego Przedmieścia i na Dziekance (Trębackiej) nie zostało ani jednego domostwa, na lewej ocalało zaledwie 40 domków. W gruzach padł bogaty, największy z przedmiejskich kościołów, klasztor bernardynów, nie obcą mówiąc nawiasem, a własną nazbyt ostrożną ręką zniszczony, na dziedzińcach pałacowych porosła trawa, skarby poszły Wisłą do Szwecyi, zostały nagie, szerniałe mury.

Inaczej oczywiście być nawet nie mogło. Tędy właśnie wzdłuż ulicy i domów przy niej stojących biła jak taranem fala wojsk polskich, usiłujących wyrzeć łupieżcom zamek, rwących się przede wszystkim do sforsowania Bramy Krakowskiej, która była najważniejszym wejściem do miasta. Tu też u stóp spiżowego Zygmunta, po którym kule grały, jak po strunie kamiennej, kwiat mło-



dzieży polskiej zaściela pokotem fosę przedmiejską; tu z „dział osobiście burzących“, a zwłaszcza jednego zwanego „smokiem“, tłuczono węgly cudnej siedziby Kazanowskich, aż przez uczyniony wyłom można było wpaść i wypłoszyć z niej Szwedów, którzy uciekli do obok leżącego kościoła bernardyńców, stamtąd do bernardynek, a nareszcie do zamku. W bok nacierającym szykom polskim pluły bez przerwy działa trzydziestu statków wojennych, ustawionych na Wiśle¹⁾, jak nieco później w czasie bitwy za Wisłą grzmiały w lewy bok armii szwedzkiej działa polskie, ustawione przez Maryę Ludwikę na tarasie klasztoru karmelickiego. Kiedy zaś nieszczęsne miasto brane i wydzierane z rąk do rąk jako łup i zakładnik, wpadło poraz trzeci w szpony Rakoczego—nastał dzień sądu i kary. Co nie zniszczało za dwóch pierwszych najazdów, przy oblężeniu i szturmach, padło teraz idąc pod miecz i na pastwę pożogi. Wyciśnięty twardą łapą żołdacką okup dokonał reszty, podrywając na długo, jeśli nie na zawsze zamożność przedniejszych rodzin mieszczańskich.

A jednak widać mocne i trwałe były zadatki życia w tem mieście, kiedy się nietylko wkrótce po tych klęskach wojennych z popiołów dźwignęło, ale nawet się zaczęło dalej rozrastać. Warszawa, która za czasów Sobieskiego posuwała się mocno na zachód, ku Grzybowu, gdzie był folwark starosty warszawskiego, rozwijała się niemniej przeto i w poprzednim wschodnim kierunku wzdłuż drogi prowadzącej od zamku do Ujazdowa, a jak teraz i do nowej rezydencji królewskiej—do Wilanowa. Po staremu było Krakowskie Przedmieście, a zwłaszcza ta część jego, która bliżej murów leżała, nietylko drogą, po której znaczna część dziejów Polski przechodziła do serca Rzeczypospolitej — do zamku, ale i widownią aktów, którym ani szczupłe względnie dziedzińce zamkowe, ani zawałony kramami i szopami, nie licząc ratusza, rynek staromiejski nie pozwalał się szeroko rozwinąć.

Placu Zamkowego, jak wiadomo, jeszcze nie było, nie było go przynajmniej w jego dzisiejszej, rozszerzonej postaci, zastępował go zatem plac, właściwie rozszerzenie ulicy przed bernardynami.

Tu jeszcze Stefan Batory i Zygmunt III, siedząc „na majestacie“, przyjmowali hołdy książąt kurlandzkich i elektorów brandenburskich, którzy na nie z pobliskiego dworca na rogu Miodowej i Senatorskiej lub z Ujazdowa zjeżdżali. Tu nadjeżdżającej Cecylii Renacie, pierwszej żonie Władysława IV stawiano tryumfalną bramę, która w kilkadziesiąt lat potem, wyjęta ze składów miej-

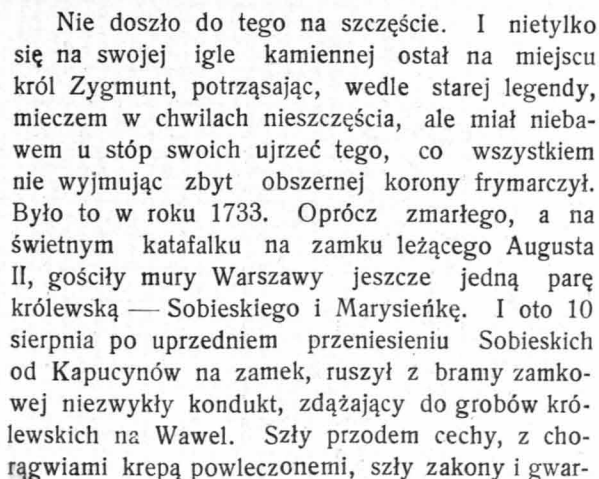
skich i odświeżona, służyła ku przyjęciu księżniczki neuburskiej, narzeczonej królewicza Jakóba. Łożyło w tym drugim wypadku miasto 7198 zł. i gr. 16, zebranych przeważnie przez dobrowolną kontrybucję między mieszkańcami Warszawy, a w spisie poszczególnych wydatków, jakie się na tę sumę ogólną złożyły, możemy znaleźć i 6 zł. 20 gr. „księdzu kaznodziei, co miał przeciwko żydom i lutrom kazanie na garniec wina“ i 100 zł. „ks. Dominikowi od OO. piarów, co wiersze komponował do bramy“ i zł. 12 „semenom, co chodzili na exekucję względem błota, aby pp. mieszczanie chędożyli podczas wesela Królewica Jakóba“ i nawet zł. 2 „dwie szlachcie ubogim, z niewoli idącym jałmużny“, nie licząc zł. 2200 za lichtarze na dar dla nowożeńców.

I tak idą—scena za sceną, chwila za chwilą z tych, co się tu na bernardyńskim placu rozebrały, dostojne, posępne, komiczne, jedno o nieporównanym wyrazie i plastyce, inne jakby rdzawem, zachodzącym słońcem Rzeczypospolitej oświetlone.

Nie kusząc się o wyczerpanie całego szeregu, rzucmy okiem na kilka bodajby. Oto 22 maja 1702 r., młody, orłu z siły i drapieżności podobny, król szwedzki wziął w swoje szpony bezbronną stolicę, która się już pod brzemieniem niesłuchanego łupiestwa ugina, a jeszcze się na żaden żywszy gest oporu zdobyć nie umie. Od pogodnej, pełnej wdzięku siedziby zwycięzcy z pod Wiednia, od Wilanowa, od prastarego zamku w Jazdowie idą żelazną stopą zastępy nowoczesnego wikinga, a pod ich krokiem ziemia zda się drżyć i uginać. Doszli aż do kolumny Zygmunta i tu na znak dany przez wodza padają na kolana, a po chwili grzmiące i głębokie tony ambrozyjskiego hymnu dziękczynnego wstrząsają śpiżową figurą Zygmunta, patrzącego się bezsilnie ze szczytu kolumny na gwałt swojej ulubionej stolicy zadany. Dopiero w dwa lata później wyparł „prawy“ władca Warszawy najeżdżąc ze swojej rezydencji, a grad kul siekł znowu boleśnie i długo kolumnę posagu, bo znowu tędy, ku bramie krakowskiej były najmocniejszą falą wojska oblegające.

Gorsze od kul niebezpieczeństwo zagroziło posagowi w kilka lat później, gdy po raz pierwszy nawiedził Warszawę sprzymierzeniec Augusta, car Piotr, stając kwaterą w pałacu Koniecpolskich (namiestnikowskim). Nad wszelką miarę i nad wszelką uczciwość szczodry król August nie zawahał się zadosyćuczynić życzeniu zbierającego pamiątki i dzieła sztuki gościa, ofiarując mu posąg Zygmunta III. Gdyby nie trudności techniczne i nie brak czasu czy zmiana chęci, byłby stał dziś posąg królewski gdzieś pod dużo bledszem i chmurniejszym niebem północy.

¹⁾ Patrz plan Warszawy w Nr 40 „Ziemi“.



dye królewskie, szło siedmiu biskupów i tłumy dostojników koronnych. A wśród nich na trzech wozach ośmiokonnych, krytych złotem szytą purpurą i srebrnymi krzyżami, szedł potrójny kondukt żałobny, zatrzymując się u podnóża Zygmunta przed samym niemal klasztorem bernardynów, których śpiewów w mroczne ranki zimowe lubił słuchać z takim upodobaniem z okien zamkowych ostatni z królów—zwycięzców. I po kazaniu, w którym zresztą już ani jedna nuta Skargi pewnie nie drgała, poszło w daleką drogę do przastarych krypt wawelskich tych troje tak niefortunnie dobranych.

(c. d. n.)

St. Thugutt.



VI. Tatry.—Budowa i podział.

Ale Pieniny nie są jedynym zakątkiem pełnym piękna krajobrazowego gór naszych. Byliśmy w nich niby w przedsionku, gdzie oko musiało się trochę oswoić z cudami natury, by należycie ocenić wspaniałe, groźne i czarowne Tatry. Tak, to istna kraina czarów, ale tych naturalnych, które nie straszą lecz ciągną i potęgę sił przyrody głoszą.

Już zdaleka, z któregokolwiek otwartego punktu w dolinie Dunajca widać na widnokręgu w południowej stronie ciemny zygzak, niby gro-

madzące się chmury. Ale gdy bliżej podchodzimy, coraz wyraźniej występują olbrzymie ścian tatrzańskich „by graniczny mur zuchwale“.

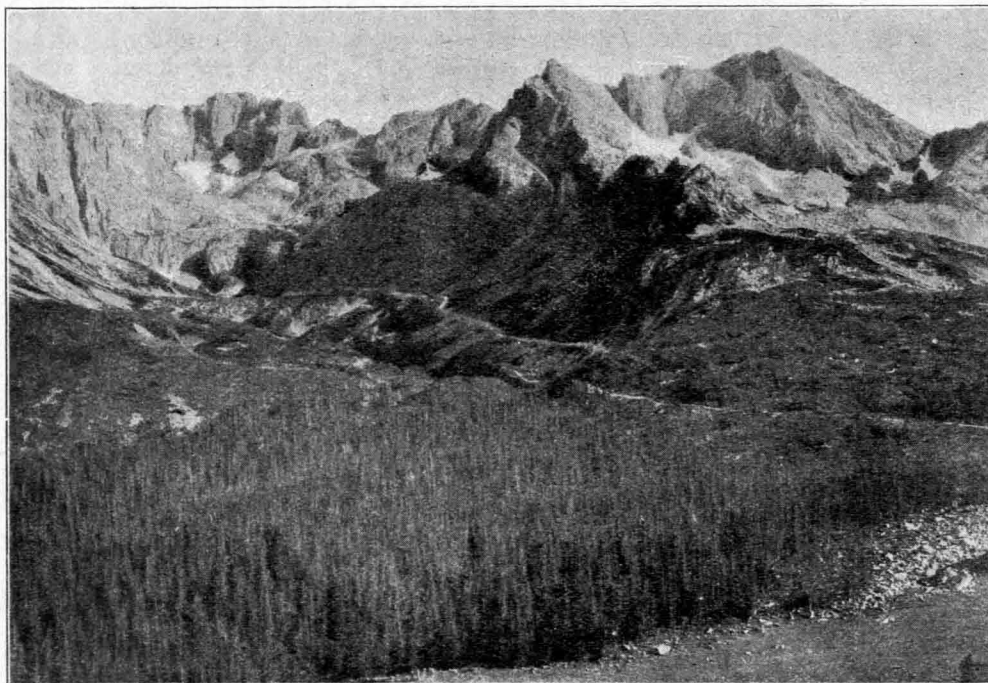
Nareszcie stajemy w Zakopanem, ponad którym wysoką przeszło 1000 m. pionową ścianą piętrzy się kolos Giewontu, uwieczniony naturalnym pomnikiem śpiącego rycerza i zdaje się przyniatać swem olbrzymiem ciałem te drobne siedziby ludzkie, rozrzucone u stóp jego.

W samej rzeczy pierwsze wrażenie, jakie otrzymujemy w czasie naszego nowicyatu w tej dziwnej krainie, jest raczej uczuciem strachu, grozy, przerażenia... Zdaje nam się, że nie może ten kołos długo się utrzymać, widzimy straszną nicłość swoją wobec tego olbrzyma.

Takie jest pierwsze wrażenie, ale gdy zaczniemy wędrować po Tatrach, ich dolinach i szczytach, gdy w ich życie i dziwy wejrzymy, to uczucie strachu przemija prędko, a natomiast występuje uczucie rozmiłowania, ukochania, przywiązania, zachwyty i podziwu. Tam życie jest inne, tam i człowiek czuje się inny, góry ciągną nas, nęcą tak, że z przykrością rozstawać się z nimi trzeba, choćby nawet nie na długo. Chodźmy na chwilę do tej uroczej krainy, by choć powierzchownie ją poznać.

Hej za mną w Tatry! w ziemię czarów

Na strome szczyty gór!



SZCZYT Y TATR OD ZAKOPANEGO

Fot. W. Lebedziński.

Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.
Ponad przepaście nasza droga,
Odważnie bracie mój,
Od ludzi dalej — bliżej Boga,
Ha, już jesteśmy — stój!

Anczyc.

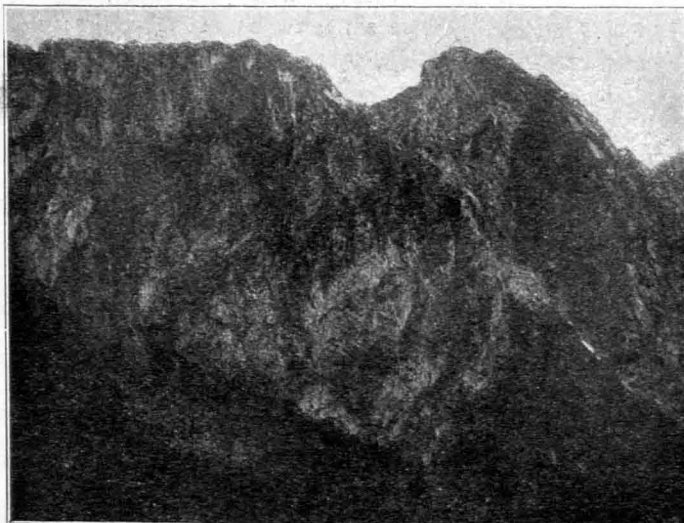
Tatry obserwowane z góry przedstawiają linię łamaną — jest to główny grzbiet, od którego idą rozgałęzienia ku północy i na południe niby

czuwać i w zewnętrznych ich kształtach, przeto dzielimy je na zachodnie i wschodnie, a pomiędzy niemi przełęcz Liliowe. Grzbiet główny w zachodniej stronie zbudowany jest przeważnie z łupków krystalicznych, które dość łatwo poddają się wietrzeniu, tam więc mamy szczyty bardziej zaokrąglone i formy łagodniejsze i dlatego mniej one nęcą, mniej wabią i znacznie rzadziej są zwiedzane.

Ku wschodowi od przełęczy Liliowej występują w głównym grzbiecie i żebrach południowych granity — skały odporne, które też mają bardziej ostre turnie i wysokość zachowały większą. To są Tatry wysokie. I w rzeczy samej, gdy w Tatrach zachodnich jedynie szczyt Bystra wznosi się powyżej 2200 metr., to we wschodnich mamy 35 szczytów ponad 2400 metr. a w tej liczbie 7 powyżej 2600 metr. (E. Romer).

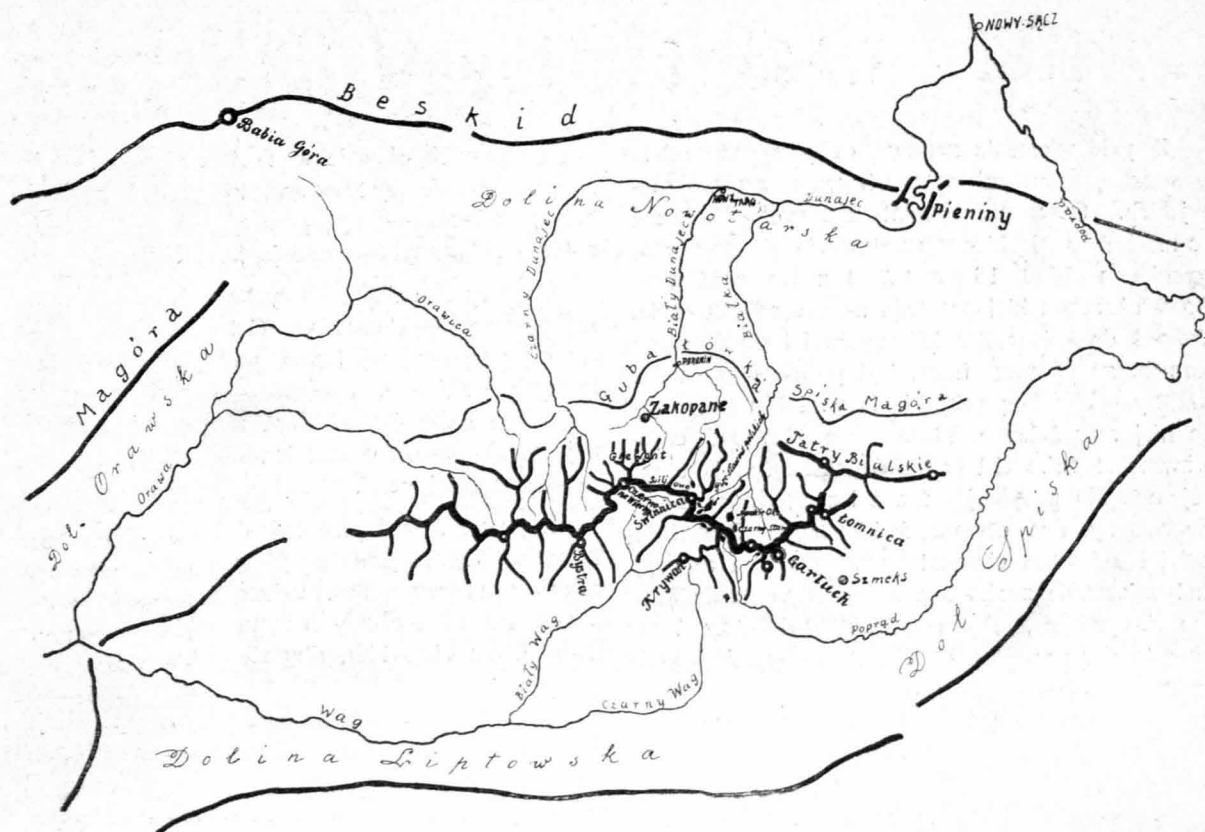
Charakterystycznym zjawiskiem jest tu jeszcze i to, że królujące swą wysokością szczyty: Krywań, Garluch, Łomnica znajdują się nie w głównym grzbiecie lecz w południowo wschodnich rozgałęzieniach ¹⁾.

¹⁾ Wał gór tatrzańskich przed rzeźbą wód musiał być niesymetryczny — południowe zbocza miał raptowne, północne łagodniejsze, więc potoki południowe mocniej wrzynały się,



GIEWONT.

Fot. Z. Sosnowski.



VII. Tatry wapienne.

Większą jednostajność form zachodniego skrzydła Tatr wynagradza nam pewna okoliczność, mianowicie, że właśnie w tej stronie żebra północne przeważnie zbudowane są z wapieni i dlatego dają nam niezrównane widoki. Każda dolina w tej stronie Tatr — Kościeliska czy Chochołowska, Strążyńska czy za Bramką, ma swój wdzięk i swoje powaby — ma swój urok swoisty.

Niby te same skały, ale coraz to w innym ugrupowaniu i zestawieniu dają coraz nowe wrażenia i osobliwe widoki, na które oko nie może się napatrzeć i zawsze z podziwem, ciekawością i lubością spogląda.

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe Zdawańście znane, a wiecznieście nowe, Choć myśl i oko przy was się upoi,

bo prędzej płynęły i przesunęły linię głównego grzbietu ku północy, (W. Nałkowski).

Myśl i żrenica wiecznie tutaj gością,
Z wami przenigdy myśl się nie oswoi
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.

(W. Pol).

(c. d. n.).

Paweł Sosnowski.



BRAMA KANTAKA
PRZY WEJŚCIU DO DOLINY KOŚCIELISKIEJ.

[Fot. W. Lebedziński.





Nafta i wosk ziemny w Galicyi. 7)

Zwykle wiercenia naftowe odbywają się zatem w sposób, przypominający wiercenie studni artezyjskich. Otoczenie studni naftowej składa się normalnie z lekkiego rusztowania drewnianego, wysokiego jakie 16 metr., kształtu wieżyczki. Do wieżyczki takiej przylega niższe zabudowanie, również drewniane, w którym mieści się maszyna parowa, za pomocą transmisji poruszająca świder stalowy. W miarę pogłębiania studni wsuwa się do niej rury żelazne, które mają stanowić cembrowinę studni. Od czasu do czasu świder ustępuje miejsca potężnej łyżce żelaznej, która czerpie szlam z dna otworu świdrowego. Zawartość takiej łyżki bywa starannie przeglądana, a rodzaje skał w szlamie znalezione notuje się obecnie bardzo skrupulatnie, aby poznać dokładnie warstwy, jakie świder przechodzi. Gdy świder dosięgnie podziemnego zbiornika ropy, ropa z hukiem i szumem wydobywa się z ziemi, a gdy wybuch jest silny, lekki budynek nad otworem wiertniczym często zostaje zniesiony. Wówczas słup czarnej cieczy swobodnie bije w górę, niekiedy do wysokości kilkudziesięciu metrów, gdy niema wiatru jest całkiem pionowy i dopiero u góry rozszerza się na kształt olbrzymiego parasola. Ropotryski takie nieraz połączone są nawet z wielkimi stratami dla przedsiębiorców, ponieważ potężny wybuch studni z początku nie daje się łatwo opanować. Gwałtowność takich ropotrysków nie jest jednak zbyt długotrwała. W niektórych szybach, np. w kopalni „na Feilerze“ w Borysławiu, a w Tustanowicach w kopalniach „Litwa“, a zwłaszcza „Oil-City“, strumienie ropy w pierwszych dniach wybuchu rozlewały się po okolicznych polach i łąkach, szerząc nieraz dotkliwe spustoszenia siewów i plonów, inne zaś, spływając do sąsiednich potoków, pozwalały wartkim falom unosić tysiące cennarów metrycznych tego cennego płynu; po kilku dniach jednakże gwałtowność wybuchu się zmniejszała, na otwór wiertniczy zakładano munsztuk metalowy z kranami, które pozwalają kierować dopływem ropy.

Wogóle wiercenia w Tustanowicach, które posiadają ogromne zbiorniki ropy w głębszych horyzontach, wprowadziły technikę wiertniczą na prawdziwą wyżynę rozwoju. Od r. 1903 szyby poczynają dochodzić do 1100—1200 m., najgłębsze zaś otwory wiertnicze jak dotychczas sięgają 1400—1500 m., dając produkcję niebywałą dotąd w Galicyi.

Przeważną ilość ropy obecnie dobywa się z głębokości 1000—1200 m. Wogóle z 89 szy-

bów, czynnych obecnie w Tustanowicach, 2 tylko są pompowane, reszta to samotryski: w Borysławiu zaś przeciwnie — ropę pompuje się przeważnie, a tylko kilka szybów wydaje ją samorzutnie.

Obszary ropodajne Borysławia i Tustanowic, najbogatsze dotychczas w Galicyi, zdaleka już czernią się całym lasem potężnych wież wiertniczych, powietrze, przesiąknięte zapachem gazów naftowych i dymów, aż dusi, ziemia od rozlewanej wokoło otworów studzien ropy aż lepka, a praca wre w całej pełni.

Ropę od źródeł przeprowadza się rurami metalowymi, zakopanymi w głębi ziemi. Pierwszy rurociąg naftowy u nas, założony przez Szczepanowskiego od Słobody rungurskiej do stacji sąsiedniej, ma kilka klm. długości. Od tego czasu oprócz rurociągu schodnickiego, nie spotykamy w Galicyi rur naftowych dłuższych i o przekroju większym niż 2 cale¹⁾. Smutnie przedstawiają się te stosunki wobec amerykańskich naftociągów, z których najdłuższy ma 1400 mil angielskich, albo wobec kaukaskiego, biegnącego od Baku do Batumu 800 klm. długości!

Ropę przeprowadza się rurami do zbiorników żelaznych lub drewnianych, które mają kształt wielkich, obszernych kadzi. Oprócz zbiorników żelaznych, które są kosztowne a nadto wymagają wiele czasu do zmontowania, obecnie coraz większem uznaniem cieszą się zbiorniki ziemne²⁾, t. j. po prostu obszerne doły, wykopane w ziemi, 3—4 m. głębokości, których dno i ściany obija się deskami i gliną, a z zewnątrz przykrywa się dachem, wspartym na słupach³⁾. Zbiorniki takie są tanie (30—35 proc. kosztów zbiornika żelaznego) i dają się bardzo szybko wykonać. Nadto mają jeszcze tę wyższość nad żelaznymi, że nie pozwalają się w lecie ropie zbyt nagrzewać, przez co nie traci swych lotnych składników. Przytem zbiorniki ziemne nie stanowią tak dogodnego punktu dla uderzeń pioruna, tej kłęski kopalń naftowych w czasie burz letnich, jak żelazne brzegi kadzi, wkopane w ziemię, które są niejako doskonałym gromozwodem. Nietylko zresztą zbiorniki żelazne, ale i oszalowania blaszane wieży i bu-

1) Nafta. 1909 r. Światowe rurociągi naftowe. Zeszyt 5.

2) Nafta. 1908 r. Zeszyt 21. O zbiornikach ziemnych. Gruszkiewicz.

3) Nafta. 1908 r. Zeszyt 10. O ziemnych zbiornikach na ropę.



dynków wiertniczych¹⁾ przyczyniają się jako doskonałe kondensatory do wynikania częstych pożarów na gruntach borysławskich. Statystyka pożarów w okolicach naftodajnych wykazuje z całą dokładnością, że co trzecia burza w Borysławiu i Tustanowicach zostawia za sobą szyb płonący, a olbrzymie pożary w Borysławiu w roku 1902 i szybu Oil-City w Tustanowicach w lipcu r. 1908 potęgą rozszałego żywiołu ogarnęły i sąsiednie okolice. A był to zaiste wspaniały i zarazem groźny widok! Ropa płomiennymi strumieniami opasywała okoliczne szyby, pola i łąki, fontanny rozpalonej ropy biły w górę ognistym słupem, rozświetlając krwawym blaskiem całe Tustanowice, a nad tem rozszałem morzem płomieni kłęby gęstego czarnego dymu spowijały wszystko żalobnymi zwojami, jakby czarną krepą...

Dobywanie ozokerytu odbywa się w sposób jeszcze prostszy. Polega na kopaniu szybów z chodnikami, najczęściej poprzecznymi, różnych rozmiarów, chociaż wogóle szyby woskowe obszerniejsze są od naftowych²⁾. Wosk wybiera ją wokoło szybu, nie troszcząc się o przyszłość kopalni, i przez tę rabunkową gospodarkę, prowadzoną systematycznie przez szereg lat, obecnie przemysł ozokerytowy przedstawia się w tak czarnych barwach. Do chodników, w których robotnicy pracują, aby uniknąć zbyt wielkiego ciśnienia gazów, doprowadza się powietrze za pomocą młynków, oświetlenie zaś stanowią t. zw. lampy bezpieczeństwa. Obecnie, jak już wspomniałam, przemysł ozokerytowy upada, żyły bowiem wosku płytko t. j. do 200 m. pod powierzchnią ziemi leżące, zostały już wyczerpane, głębsze zaś szyby są: 1-o bardzo kosztowne, 2-o nad wyraz trudne do utrzymania. W głębokości np. 140 m. żadne podpory drewniane nie są w stanie utrzymać ciśnienia pokładów, nadto wogóle w głębokościach znacznie mniejszych ciśnienie gazów w szybach woskowych staje się tak wielkie, że praca dłuższa jest już połączona z niebezpieczeństwem życia robotników. Wosk wydobyty z szybów³⁾ po oczyszczeniu go najpierw za pomocą sit i przetaków przetapia się w topiarniach w wielkich kotłach żelaznych, aby oddzielić ziemię z nim zmieszaną, a przetopiony wlewa się w formy cylindryczne lub kształtu stożka ściętego, w których zastyga. Wielkie takie bloki wosku handlowego służą do dalszej przeróbki chemicznej albo w krajowych fabrykach Drohobycza, Lwowa i Stanisławowa, albo też zagranicą.

Zwykły „lep mazny“ dostarcza topiarniom 0.5

do 3 prc. czystego wosku¹⁾, wyrobek kopalń borysławskich nieraz daje nawet 2—8 prc., boczne zaś żyłki, odchodzące od żyły głównej, zwykle „płazówkami“ zwane, składają się prawie z czystego wosku.

Często także na wosk przerabiają odpadki, wyrzucane z kopalń, a wielka ilość płókań woskowych, rozrzucona zwłaszcza dawniej po całym Borysławiu, zakupując takie odpadki po cenach niskich, otrzymywała z nich jeszcze spory procent wosku.

Wosk surowy występuje przeważnie w czterech odmianach²⁾, mianowicie jako wosk twardy, miękki, ziemisty i kindybał. Wosk twardy, barwy żółtej, posiada punkt topliwości wysoki, dochodzący do 80 a nawet 100°C i służy do fabrykacji cerezyny. Wosk miękki, barwy ciemniejszej, zwykle ziemią zanieczyszczony, zawiera liczne pęcherzyki gazowe w swym wnętrzu, topi się w temperaturze 60°C i służy głównie do wyrobu parafiny. Wosk ziemisty bywa bardzo ziemią zanieczyszczony, a po przetopieniu używa się go pospolicie jako zwykłego wosku handlowego. Wreszcie pod kindybałem Pawlewski, który go badał dokładniej, rozumie produkt przejściowy między ropą a ozokerytem. Stanowi on masę o małej zawartości parafiny, a sporej domieszce oleju skalnego i służy zwykle tylko jako dodatek do odmian lepszych.

Pod względem chemicznym analizy elementarne wykazały w ogóle, że ozokeryt składa się ze związków węgla i wodoru. Ściśle biorąc, ozokeryt jest mieszaniną węglowodorów, odpowiadających wzorom:



t. j. węglowodorów nasyconych i nienasyconych, o większej lub mniejszej ilości atomów węgla w cząsteczce. W ozokerycie zresztą przeważają połączenia stałe, a jako główny składnik zawiera on parafinę t. j. mieszaninę węglowodorów nasyconych o 30-tu i więcej atomach węgla w cząsteczce, która w zwykłej temperaturze przedstawia się, jako ciało stałe, z białych krystalicznych blaszek złożone.

Ścisłe analizy wosku borysławskiego i truskawieckiego, wykonane przez Pawlewskiego, przedstawiają skład chemiczny wosku przetopionego w sposób następujący: 84—86 prc. węgla, wodoru 13—15 prc., siarki 0.37 prc. reszta zaś składa się z tlenu i popiołu.

Dokładniejsze badania wosku truskawieckiego o c. wł. 0.926 a p. topl. 65—66° oraz wyniki destylacji wykazały: wody 1.7 prc., benzyny 7,2 prc., nafty i olejów smarowych ciężkich 30,6 prc.,

¹⁾ Nafta. 1909 r. Zeszyt 9. O przyczynie częstych pożarów w Borysławiu i Tustanowicach.

²⁾ E. Windakiewicz. I. c.

³⁾ Szajnocha. I. c.

¹⁾ Grzybowski. I. c.

²⁾ Szajnocha. I. c.

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Dnia 16 października odbyła się ostatnia w sezonie jesiennym zbiorowa wycieczka Towarzystwa z Warszawy do Natolina. Po przybyciu kolejką do Wilanowa, a stąd pieszo do parku natolińskiego, uczestnicy zajęli miejsca na schodach tarasu pałacowego, kierownik zaś wycieczki p. Rakowiecki opowiedział dzieje Wilanowa i Natolina, charakteryzując ubiegłe tu czasy i wybitniejsze osobistości historyczne z rodów Czartoryskich i Potockich.

Następnie p. K. Kulwiec wskazał zebrany charakterystyczne cechy zamierającego na zimę życia organicznego, wpływającego na charakter krajobrazu jesiennego, poczem jedna część wycieczkowiczów ruszyła w głąb parku na przegląd okazów flory i fauny miejscowej w ich jesiennym stanie, druga zaś — zwiedzała z p. Rakowieckim wnętrze pałacu i piękne aleje parkowe.

O godz. 1 po południu kilkudziesięciu uczestników ruszyło pod kierunkiem p. Kwietniewskiego pieszo na Ursynów, Służew i Mokotów do Warszawy, reszta zaś o 1½ na stację kolejki do Wilanowa.

W wycieczce, którą zaliczyć należy do najbardziej udatnych, wzięło udział przeszło 260 osób.

Tegoż dnia odbyła się wycieczka oddziału łódzkiego do Łowicza — w gronie 45 osób. Z Łowicza, po zwiedzeniu jego osobliwości i zbiorów ruszono do Arkady i Nieborowa.

W Arkady, położonej o 5 wiorst od Łowicza, nad rzeczką Łupią, v. Skierniewką, zachwycano się obszernym parkiem (z r. 1778), a w nim: grotą z wielkich głazów, domkiem greckim i gotyckim, świątynią Dyany z głazu ciosanego i ślicznym w niej plafonem, obeliskiem z napisem: „Munificentiae Augusti Helena posuit“, które dają słabe tylko wyobrażenie o dawnej świetności.

Następnie ruszono do położonego o 4 w. dalej Nieborowa, gdzie w w. XVII prymas Radziejowski pałac dla siebie zbudował. Michał Radziwiłł nabył go od ks. Ogińskich w XVIII w. i przyozdobił pałac i ogród, w czym mu dopomagała żona, Helena z Przeździeckich, założycielka Arkady. Obszerny starożytny pałac mieści w sobie wspaniałe i starożytne muzeum, składające się z bardzo cenanych i starożytnych rzeźb, obrazów, zbroi, broni, pamiątek i odznaczeń, sprzętów i szkatulek inkrustowanych, porcelany i kryształów, wyrobów z kości, terrakoty, majoliki i bogatej biblioteki (przeważnie dzieła francuskie). Wszystko to z pietyzmem utrzymane i umiejętnie umieszczone w 6-ciu salach budziło prawdziwy zachwyt wśród zwiedzających, tak, iż z żalem opuszczano ten przybytek, aby podążyć do Łowicza na pociąg wieczorny, wychodzący o godzinie 6 min. 30.

Dn. 16 b. m. odbyło się miesięczne zebranie chełmskiego oddziału P. T. K.

Posiedzenie zajął prezes oddziału dr. Łuczkowski i w pięknym, treściwym przemówieniu uczcił pamięć czcigodnego i zasłużonego badacza przeszłości naszej ś. p. Glogera, wyliczając jego zasługi, położone na polu krajoznawstwa, oraz wezwał obecnych do uczczenia jego pamięci przez powstanie.

Następnie sekretarz oddziału, p. Michalski, wypowiedział referat „O pochodzeniu Słowian“. Prelegent znakomicie opracował swój referat, opanowawszy dokładnie temat, o którym mówił; to też publiczność dziękowała mu hucznymi oklaskami. Odczyt był ilustrowany licznymi przezroczami.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Spis ważniejszych miejscowości w powiecie Starokonstantynowskim na Wołyniu. Z 32 rycinami. Stary-Konstantynów nakładem niektórych ziemian wołyńskich 1910. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. Cena 6 rb.

Wydana świeżo pod powyższym tytułem monografia jednego z powiatów Wołynia jest owocem długoletniej, mroźczej, prawdziwie benedyktyńskiej pracy i już z tego względu zasługuje na specjalną uwagę. Nowsza nasza literatura krajoznawcza nie jest na ogół obfita, zwłaszcza zaś w dzieła dotyczące Litwy i Rusi. Ukazało się wprawdzie w ciągu ostatnich lat kilkunastu, oprócz znakomitych dociekań historycznych Aleksandra Jabłonowskiego, kilka pięknych prac z dziejów wyższych uczelni polskich w Wilnie, Połocku, Kijowie i Krzemieńcu; wydaje wprawdzie również niestrudzony p. Marek Gozdawa wciąż coraz to nowe monografie i przyczynki do dziejów klasztorów i szkolnictwa na Litwie i Rusi, a zmarły niedawno ś. p. Józef Dunin Karwicki pięknie zapisał swe imię w szeregu badaczy ostatniej ery dziejów Wołynia. Ale w porównaniu z ogromem pracy, prowadzonej na tem samym polu przez pisarzy i uczonych rosyjskich, a nawet w porównaniu z naszym własnym piśmiennictwem z połowy ubiegłego stulecia, kiedy co rok niemal sypały się na rynek księgarski cenne i po dziś dzień nie tracące wartości prace Konstantego i Eustachego Tyszkiewiczów, Syrokomli, Kraszewskiego, Przeździeckiego, Rulikowskiego, Grabowskiego, Steckiego i in., — nasze obecne piśmiennictwo, dotyczące omawianych krajów, wygląda bardzo ubogo. Z naszych monografii, dających obraz przeszłości i stanu obecnego pewnych zaokrąglonych administracyjnie części kraju, wymienić możemy jedynie: znakomite czterotomowe dzieło Czesława Jankowskiego o powiecie oszmiańskim i cenną również pracę Władysława Górskiego o powiecie mohylowskim. Przybysza do nich obecnie bezimiennie wydana praca której tytuł przytoczyliśmy w nagłówku.

Główną zaletą tej monografii jest niesłychana obfitość szczegółów, dotyczących miejscowości, położonych w powiecie starokonstantynowskim, lub osób, związanych z nim tak czy inaczej. Zdaje się, że autor wyczerpał istotnie cały materiał, znaleziony w ogromnej ilości wydawnictw, książek i rękopisów, przechowy-

wanych w bibliotekach publicznych. Ujemną natomiast cechą tej książki jest brak żywych bezpośrednich wrażeń autora z opisywanych okolic, brak jednym słowem tego, co stanowi główny urok, a kto wie, czy i nie główną wartość wzmiankowanej już czterotomowej monografii Czesława Jankowskiego.

Po krótkim wstępie, obrazującym w ogólnym zarysie dzieje ziemi, objętej granicami powiatu starokonstantynowskiego, autor przechodzi do kolejnego opisu w porządku alfabetycznym wszystkich miejscowości, w nim położonych. Przy każdej zatem wsi mamy możliwie najszczegółowiej podane dzieje rodzin, będących jej właścicielami, i te szczegóły genealogiczne wypełniają znaczną część książki. Szlachta starokonstantynowska wydała z pośród siebie w ciągu XIX-go stulecia dwie tylko wybitniejsze i zasłużone szerokiemu ogółowi postacie: Gaspara Maszkowskiego, poprzednika i współtowarzysza Szymona Konarskiego, oraz Maryana Dubieckiego, wybitnego uczestnika wypadków 63-go roku, znanego teraz powszechnie historyka. Szczegółowe życiorysy obu tych mężów są niemałą ozdobą omawianej książki.

Na osobne podkreślenie zasługują liczne i nader cenne, choć nie zawsze wiążące się bezpośrednio z właściwym celem książki „wstawki”, poświęcone dziejom klasztorów katolickich i szkolnictwa polskiego na Rusi. Przy opisie np. Teofilpola, gdzie do r. 1832 istniał klasztor trynitarzy, podaje autor na 93 stronicach szczegółowy opis wszystkich klasztorów tej reguły na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Tak samo przy opisie Starokonstantynowa znajdujemy mnóstwo szczegółów o klasztorach dominikanów i kapucynów na całej Rusi. Cały ten materiał, niewątpliwie sam przez się nader cenny, należało właściwie wydać osobno w specjalnej książce czy broszurce.

Brak natomiast niniejszej monografii mapy, która przy tego rodzaju wydawnictwach dołączona być powinna koniecznie.

Pomimo tych wszystkich wad i braków, z których za główny uważamy jednak niedostateczne uwzględnienie stanu obecnego opisywanych miejscowości, monografia powiatu starokonstantynowskiego stanowi cenny dorobek naszej literatury krajoznawczej. Dla mieszkańców danego powiatu będzie ona miłą pamiątką, nawiązującą zrywane brutalnie nici tradycji, dla badaczy zaś wewnętrznych dziejów Rusi w XIX stuleciu pozostanie na zawsze przebogatą skarbnicą najrozmaitszych cennych faktów i wiadomości.

E. M.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

✚ Jak donoszą dzienniki, według zebranych zebranych ostatnio danych urzędowych, Warszawa liczy ogółem 781,179 mieszkańców, w tej liczbie 366,057 mężczyzn i resztę kobiet, pod względem wyznań liczba katolików wynosi 417,948, żydów 281,734, prawosławnych 31,651, maryawitów 7,002, luteranów 14,068, kalwinów 3,051 i t. d.

Obszar ogólny, zajęty przez miasto, wynosi 424 dziesięcin i 1,990 sążni kwadratowych. Wartość 73 gmachów, które należą do kasy miejskiej, obliczono na rb. 3,355,950.

W 500 istniejących w mieście fabrykach pracuje 32,398 ludzi, obrót roczny tych fabryk przedstawia wartość 74,688,900 rb.

Największą ilość rąk zatrudnia rzemiosło szewckie. Z dwóch jarmarków, urządzanych w Warszawie, obrót jarmarku na wełnę sięga rb. 587,960, jarmarku na chmiel—rb. 24,470.

Mieszkańcy spożywają w ciągu roku 39,677 sztuk wołów, cieląt 63,865 i 163,429 baranów.

◆ ◆ ◆

✚ Na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Pomologicznego w Wilnie odczytano sprawozdanie z objazdów po Litwie p. Mokrzyckiego, znanego entomologa, który w ciągu trzech tygodni zwiedzał wskazane mu przez zarząd Tow. ogrody, w celu zbadania chorób drzew owocowych i roślin uprawnych i wskazania środków ochrony przeciw szkodnikom i pasożytom. „W czasie swych wycieczek, pisze p. Mokrzecki, zwracałem też uwagę i na ogólne warunki owocarstwa w kraju, wpływające na rozwój tej gałęzi gospodarstwa.

Zwiedziłem więc sad i ogród, pole i las w następujących dworach: we Floryanowie p. T. Bochiwica, w Łopusznie p. R. Narkiewicza-Jodko (g. mińska); w Kaczanowie p. E. Butkiewicza, w Lebidocie p. Z. Iwanowskiego (gub. wileńska, pow. lidzki); plantacje agrestu p. M. Kwintowej w Wilnie; Czerwony Dwór p. St. Sienkiewicza (pow. wileński); ogród w Wojewodziskach p. hr. J. O'Rourke'a i majątek Traszkun p. St. Montwiłła. Oglądałem też i szkołę ogrodniczą wileńskiego oddziału w Wilnie, która swoją staranną pracą ma szerzyć racjonalną kulturę ogrodniczą w kraju.

Niestety, dla braku czasu oraz ciągłych deszczów, które mi nadzwyczajnie przeszkadzały w moich poszukiwaniach, nie miałem możliwości obecnie zwiedzić ogrodów p. W. Pietkiewicza w majątku Rakiciszkach, p. M. Szyski w m. Janopolu i p. J. Kielczewskiego w m. Janinie, które mi też były wskazane przez zarząd wydziału.

Jeśli ogólny stan gospodarstwa w tych dworach litewskich, jakie zwiedziłem, zasługuje na wielkie uznanie, gospodarka prowadzona jest umiejętnie, staranie i jest wielostronna i intensywna, to w gałęzi ogrodnictwa naogół, a ochrony roślin w szczególności dałoby się dużo jeszcze zrobić!

Na Litwie uczuwa się niezbędną potrzebą pracowni naukowej, na wzór np. tej, jaka już od lat kilku istnieje przy warszawskiem Towarzystwie ogrodniczym pod kierownictwem p. K. Kulwiecia, a ma na celu badanie szkodników, chorób roślin uprawnych w Królestwie i wskazywanie środków ochrony.

W swoich wycieczkach zwracałem uwagę na plagę agrestu, spowodowaną przez mączca agrestowego (*Sphaerothera mors uvae*), który zagraża zniszczeniem w kraju tego pożytecznego krzewu. Znika z ogrodów naszych i sapieżanka, ów stary, a wyborny gatunek gruszy, tak charakterystyczny dla ogrodów litewskich. Plamistość, pęknięcie i gnienie tej doskonałej gruszy spowodowane są przez grzybek *Fusicladium*, który

robi ten gatunek bezwartościowym. Obie choroby dają się skutecznie leczyć odpowiednimi środkami, które były wskazane przezemnie gospodarzom, a które treściwie będą wymienione w moim referacie.

Jeszcze bodaj większa bieda oczekuje świerki na Litwie, zagrożone przez drobne żuczki, kornikami zwane. Wobec nieracjonalnej gospodarki leśnej i rozwoju kornika, świerk, owe bogactwo i upiększenie lasów litewskich, może zaginąć, jak niegdyś zaginął modrzew.

— W artykule „Życia polskiego na Litwie,” zamieszczonym w krakowskim miesięczniku „Krytyka,” znany publicysta, Leon Wasilewski, wbrew utartej opinii ocenia optymistycznie żywotność i rozwój polskiego żywiołu na ziemiach litewskich. Mimo przeżycia strasznych czterdziestu lat powojennych, mimo olbrzymich strat i szkód, poniesionych w tym czasie, polskość nie znajduje się bynajmniej w stanie cofania się, ani nawet zastoj; nie tylko żyje i trwa, ale idzie naprzód.

P. Wasilewski poddaje szczegółowemu przeglądowi wszystkie objawy żywotności, jakie społeczeństwo polskie na Litwie okazało od r. 1905, gdy zelżały nieco zaciskające je więzy. Wskazuje na takie fakty i zjawiska, jak rozwój prasy polskiej, która w tej chwili wykazuje dziesięć pism w Wilnie, jak powstanie dziesięciu nowych księgarni polskich w rozmaitych miastach litewskich, jak wskrzeszenie teatru, zawiązanie Towarzystwa Przyjaciół nauk, wreszcie żywą działalność w dziedzinie gospodarczej i społecznej.

Lecz nie na tych objawach opiera p. Wasilewski głównie swe optymistyczne konkluzje. Opiera je przede wszystkim na tem, co mówi statystyka rozwoju ludności. Statystyka rządowa, zatem niepodważana o naganianie cyfr na naszą korzyść.

„Rosyjskie dane statystyczne—zastrzega p. Wasilewski—o ile odnoszą się do Polaków na Litwie, nie posiadają żadnej wartości obiektywnej, gdyż gromadzącym je czynnikiem chodzi o wykazanie, że Polaków albo wcale niema, albo, że stanowią oni garstkę mikroskopijną. Zmniejszenie rzeczywistej liczby Polaków w statystyce rosyjskiej kilkanaście lub nawet kilkaset razy jest rzeczą tak zwykłą, że nie budzi wcale zdziwienia. To też z cyfr jej nie możemy wydobywać wskazówek co do istotnej liczby ludności polskiej. Natomiast możemy tej statystyce zawierzyć zupełnie, jeśli wykazuje ona gdziekolwiek wzrost polskiego żywiołu. Znaczący bowiem, że ten wzrost jest tak wyraźny i bijący

w oczy, że nawet statystyk rosyjski nie ma odwagi go zataić.”

Do takiej więc statystyki, mianowicie do materiału statystyczno-entograficznego, zebranego w ostatnich czasach przez gubernatorów sześciu gubernii litewskich dla użytku władz petersburskich, sięga p. Wasilewski. Biorąc pod uwagę gubernię wileńską, której materiały statystyczny został opublikowany, porównywa cyfry dzisiejsze z odnośnymi cyframi ogólnego spisu ludności z r. 1897. Zestawienie to przeczy głośno mniemaniu, jakoby żywioł polski na Litwie cofał się. Przeciwnie, w tych trzynastu latach wzrósł właśnie!

W r. 1897 naliczono Polaków w powiecie wileńskim 73,088—czyli 20 proc., obecnie zaś 107,887—czyli 24 proc. W samym Wilnie tworzyli Polacy podówczas 30 proc. (48,795), gdy teraz stanowią już 36 proc. (77,500). I w innych powiatach gubernii wileńskiej obecna statystyka rządowa nie może ukryć wzrostu polskiej ludności, chociaż usiłuje sztucznie zmniejszyć jej liczbę. Na dowód tendencyjności jej przytacza p. Wasilewski fakt, wkraczający niemal w dziedzinę humorystyki, iż w miasteczku Smorgoniach, gdzie samych robotników Polaków jest do tysiąca, naliczono urzędowo—czterech Polaków! Nawet tak jaskrawe fałszowanie rzeczywistości nie zdołało ukryć prawdy, iż żywioł polski wzrasta się i rośnie.

„Wzrost ten—wyjaśnia p. Wasilewski—tłumaczy się kilku przyczynami, poza naturalnem rozmnażaniem się ludności polskiej. Przedewszystkiem polszczy się dość szybko białoruska ludność katolicka, po części zaś i litewska, gdzie stanowi nieliczną mniejszość. Następnie istnieje niewątpliwie imigracja na Litwę żywiołów polskich rzemieślniczych, robotniczych, handlowych i inteligentnych z Królestwa. Wreszcie wzmacniająca się świadomość narodowa zmniejsza liczbę osobników narodowo indyferentnych, którzy dawniej pozwalali uważać się za Białorusinów, Rosyan czy Litwinów.”

Dawny przesąd, jakoby na Litwie tylko szlachta była polską, powoli zanika i dziś już—zaznacza p. Wasilewski—tylko „iście rosyjscy” ludzie mogą przeczyć istnieniu na Litwie polskiego drobnomieszczanstwa i polskich chłopów (okolice Wilna, Kowna, trzy powiaty grodzieńskie etc).

„Jeżeli dodamy do tego—kończy p. Wasilewski—znaczną i wcale nie uszczuplającą się liczbę polskiej inteligencji, to zrozumiemy, dlaczego kulturalne życie polskie na Litwie objawia sporo żywotności i może się rozwijać dość wszechstronnie.”

TREŚĆ: *Wacław Natkowski*—Polska, jako kraina przejściowa (d. c.); *Wł. Leszczyński*—Lamus w Książenicach (z 1 ilustr.); *St. Thugutt*—Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia (d. c.); *Paweł Sosnowski*—Karpaty (d. c.) (z 1 mapą i 3 ilustr.); *Dr. Ludomira Biegańska*—„Nafta i wosk ziemny w Galicyi” (d. c.); *Marek Gozdawa*—Dwory, zamki i pałace. Zazulińce. (z 2 ilustr.) *S. Michalski*—Muzeum krajoznawcze w Dreźnie; Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — Nowe książki. — Kronika Krajoznawcza.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łąkał Józef Miałan. — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Klisze wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec.**